Nr. 8. i 9. We Lwowie dnia 1. Września 1871. Rok VII.



Gdzie to synu twoja niwa?
Gdzie to synu dom twój bywa.? —
Miedze poszły w świat przez pola!
Gdzie twe kopce i twa rola?

Kiedy wszystko zdobyć trzeba —
Wszystko spłacić — jak to zdołasz?
Kogo w pomoc tu przywołasz?
Uproś synu łaskę Nieba!

Idź na Wawel! z łaską Bożą
Tobie wszystkie drzwi otworzą; —
Tam się wkupisz tylko cnotą,
Bo tu dzieje tylko płacą.

A czy oddasz krew czy złoto —
Czyś się rozlał krwawą pracą —
Wielkie szczęście, gdy na grobie
„Dobrześ służył,!“ rzekną Tobie.

Zjazd polskiej rodziny we Lwowie.

Od roku już obiecywali nam kochani nasi bracia z Poznańskiego odwiedzić nas we Lwowie. Otóż wybrali się w początkach tego miesiąca — do nich przyłączyli się Szlązacy, a potem i Krakowianie i razem zjechali do Lwowa 13. Sierpnia.

Żeby przyjąć godnie tak drogich gości, zebrała się na dworcu kolei żelaznej cała rada miejska z burmistrzem na czele, była i straż ochotnicza ogniowa i różne towarzystwa, każde ze swemi chorągwiami. Cały dworzec zapełniony był cieszącymi się ludźmi. Trudno wypowiedzieć radość, z jaką był przywitany pociąg, ozdobiony w zieloność, a wiozący przybywających gości.

Sto lat już minęło, jak zagrabił Prusak polską ziemię i chciał z Polaków porobić Niemców, ale się nie udało. Pracowali jak mogli, żeby wiary naszej, języka naszego i zwyczajów nie zatracić. Różne rzeczy wymyślał Prusak, żeby ich zniemczyć — wszystko to na nic.

Ażeby pokazać światu, że przedewszystkiem kraj swój miłują, postanowili przyjechać do nas, do swoich braci, o których niezapomnieli, uściskać nas i pogwarzyć z nami, łamiąc się gościnnie ofiarowanym chlebem. Otóż z wielką radością zaczęli Lwowianie witać Poznańczyków, Szlązaków i Krakowian, kiedy wysiedli z wagonów, poczem powiedli każdego przez ulice ozdobione chorągwiami i dywanami do kwatery, żeby sobie po podróży odpoczął. Dopiero po południu zebrało się kilkadziesiąt tysięcy ludzi, zeby ich poprowadzić na kopiec Unji. Bo nie ż próżnemi przyjechali oni rękami. Jedni przywieźli ziemię z pod Grunwaldu, gdzie król nasz Jagiełło zwyciężył hardych Krzyżaków — inni z Gniezna najdawniejszej stolicy Polski, inni z kopca usypanego pod Krakowem na cześć Kościuszki, inni z góry zamkowej krakowskiej, gdzie mieszkali nasi królowie i t. d. Ponieśli tedy uroczyście tę ziemię, droższą nad wszystkie skarby i złożyli ją na kopcu Unji, żeby dać dowód, że, choć z różnych końców rozdartego naszego kraju, ziemia, którą przywieźli, jest polską. Na kopcu tak Poznańczycy, Szlązacy, tak i Krakowianie mieli piękne mowy. Nie myślcie, powiedzieli niektórzy z nich, żebyśmy tylko dla zabawy tutaj przybyli.

Chcieliśmy także poznać, jak się tu u was dzieje, nauczyć się wszystkiego, co u was zobaczymy, i powieść tę naukę do nas. Bo człowiek, co się tylko zabawą zajmuje, nic dla kraju nie zrobi — a celem naszym tylko dla kraju pracować. Ten, co o ojczyźnie nie myśli, nie wart być człowiekiem.

Na trzeci dzień dali Lwowianie festyn dla swych gości. Ogród Jezuicki pełen był ładnych kolorowych latarń wiszących, jakby świecące się ptaszki po gałęziach.

W umyślnie wybudowanej sali ślicznie było widzieć, jak poznański obywatel tańczył z lwowską matroną, tu krakowski chłop, tu góral, tu szląski wieśniak wywijał z zacnemi dziewicami, co się na ruskiej ziemi urodziły. Bawiono się ochoczo. W ogrodzie śliczne fajerwerki palono, podczas kiedy chór młodzieży handlowej spiewał pieśni napisane przez naszego kochanego Platona Kosteckiego na przyjęcie naszych gości. Dajemy wam te piosenki i polskie i ruskie.

Braci naszej od Zachodu na powitanie.
Bratiam naszym z wid Zapadu na prywit.

(Słowa Platona Kosteckiego, muzyka Wilhelma Czerwińskiego.)

Powiadała dawno sroczka
I przepowiedziała —
Przyjechali mili goście,
Panu Bogu chwała!
A witajcież bracia, siostry,
W starym, ruskim grodzie —
Jesteście tu na swej ziemi,
W rodzinnej zagrodzie!

Daj nam Bože dobryj czas,
Jak u ludej, tak u nas,
I w szczasływu hodynu
Rozweselim rodynu!*)

Dziś tu Wisły, Warty, Dniestru
Spłynęły się wody,
A na Dnieprze, Bugu, Niemnie
Ciągłe jeszcze lody!

Ledwo czasem do nas czajka
Chyłkiem się przekrada,
I wybuchła głośnym płaczem...
Za swą dziatwą biada.

Wid Dniprowoj fali sumna ruska nuta
Kruhom po witczyni jak mraka rozsnuta...
No czejže nebawkom i zabłysne zorja,
I za sońcem bude jasno wid morja do morja.

Z dawen-dawnych wikiw, ne wid Wernyhory,
Zwenyt propowidnia po nad stepy, bory:
„Stane wijna straszna, potim hazard bude!"
Žd́ajut wirno, i dożdajut toho naszi lude.

Wszak opadły już kajdany
Z naszej braci rolnej, —
Tylko pracy, wiary w Boga,
Będzie naród wolny!
Dogorywa wiek, co władał
Workiem i żelazem, —
W Imię Matki będziem wolni,
Byle wytrwać razem!

---

*) Z ruskiej pieśni ludowej.

Hej, krakiwski dzwoniat dzwony,
Switom hołos czuty,
Z hrobiw kłyczut Jahajłony,
Piasty, Korybuty:
Wo imia Otca i Syna —
To nasza mołytwa —
Jako Trojca, tak jedyna
„Polszcza, Rus i Łytwa!“

Bóg tak każe!... Hej Polanie,
Szlązacy, Litwini,
Wszyscy ramie do ramienia,
Z nami wraz Rusini!
Jak im z nami iść po wieki,
Tak nam razem z nimi,
Czyśmy wolni, czy niewolni —
A równi z równymi!

Spasy Bih, bratia mili,
I pomnit toi chwyli!
Twerda, jak wira nasza,
Naj bude przyjaźń lasza!

A na wspólnej ziemi naszej
Kiedyś dobrze będzie,
Pójdziem sobie wtedy wolni
Kółkiem po kolędzie:
Hej z Krakowa do Warszawy,
Poznania i Lwowa,
I z Cieszyna aż do Wilna,
Z Gdańska do Kijowa!

A dašt' Hospod', hazard bude
U naszej witczyni,
Pijdem sy tohdy swobidni,
Kruhom po hostyni:
Z Kijewa hej do Warszawy,
Wilna i Krakowa,
Do Ciszyna i Poznania,
Do Gdańska i Lwowa!

(Tłómaczenie niektórych wyrazów ruskich: Sumna smutna: harazd błogo, dobrze; żdajut, czekają; czuty słychać; spasy Bih, Bóg zapłać; dašt' Hospod', da Pan (Bóg); witczyni, ojczyźnie.)

Szlachetność,

opowiadanie prawdziwe

przez Aleksandrę Remerównę.

(Dokończenie.)

Już dnieć zaczynało, gdy Juljusz przy pierwszym brzasku porannego słońca, z radością witał znajome sobie strony, już przestrzeń może tylko jednej mili dzieliła go od ukochanych, ale zmęczenie, głód i pragnienie wycieńczyły tak jego siły, że chcąc dalej iść. potrzebował koniecznie trochę wytchnąć i posilić się nieco, w tym też celu wszedł do ubogiej chaty, tuż niedaleko drogi stojącej. Ale smutny widok uderzył tu młodzieńca: w zimnej, pustej izbie znajdowała się rodzina nędzarza w rozpaczliwym stanie; matka z płaczem otulała drżące od zimna drobne dzieci w resztki łachmanów pozbieranych po izbie, a ojciec w kapeluszu i z kijem w ręce stał smutny obok wygasłego ogniska, a spoglądajac z rozpaczą na biedne dzieci i płaczącą żonę, czekał widocznie, kiedy będą gotowi do wyjścia. Szlachetne serce Juljusza przejęło się tak bardzo tą nędzą bliźnich, że chwilowo zapomniał o własnym nieszczęsnym losie i z litością pełną współczucia zapytał nieszczęśliwych, co ich przykrego spotkało?

— Nie zapłaciliśmy czynszu za pomieszkanie, i oto nie będziem teraz mieć nawet dachu i ogniska, przy którymby można było się ogrzać! — wyrzekł ponuro wieśniak.

— A ile wam trzeba na zapłacenie czynszu?

— Czterdzieści franków, mój panie.

— Czterdzieści franków — powtórzył młodzieniec, i znać w tej chwili przesunęła się jakaś nowa myśl po jego wyniosłem czole, widocznie jakąś walkę z sobą toczył. Po chwili zwracając się do wieśniaka rzekł: Jestem zbiegiem z więzienia w Tuluzie, uciekłem w myśli dostania się do rodziców, ale po rozważnem zastanowieniu się, widzę, że krok ten tylko smutne wywoła następstwa: mnie wkrótce pochwycą i tak, a krótka chwila widzenia się z rodzicami jeszcze może większą rozedrze ich serce boleścią, a nawet może ściągnąć na nich prześladowanie moich wrogów, więc zwiąż mnie bracie i odstaw do Tuluzy, bowiem za schwytanie każdego takiego więźnia wyznaczono 50 franków nagrody, będziesz więc miał czem zapłacić twój czynsz mieszkalny.

Wieśniak wpatrzył się z zadziwieniem w młodziana, a słowa dopiero co usłyszane przejęły go strachem.

— Nie, nie, tego nie uczynię, mój szlachetny panie! — zawołał z uniesieniem.

Ale młodzieniec zaczął mu przedstawiać rzecz całą, twierdząc, że go nic ocalić nie może, że go i tak wkrótce pochwyci policja i wtrąci do więzienia napowrót; wreszcie przypomniał mu jego głodne dzieci i nieszczęśliwą żonę, dodając; więc dla nich uczyń to przynajmniej!...

Te ostatnie słowa obudziły z niemego odrętwienia biednego wieśniaka, straszne cierpienie dobitniej zarysowało się na jego twarzy wychudłej

pochwycił więc z rozpaczą podany mu przez młodzieńca sznur i związał nim jego ręce. Wkrótce puścili się w drogę ku Tuluzie... Ów młodzian, który przed paru godzinami był dosyć silny, by złamać zapory więzienia, z wysokich skoczyć murów i biedz następnie prawie bez tchu mil parę, — tą samą drogą wracał teraz spokojnie, pod strażą bezsilnego starca, aby znów zająć to samo miejsce w więzieniu i dźwigać nadal kajdany!

W ten sposób doszli do Tuluzy, gdzie wieśniak oddał niby schwytanego więźnia. Młodzieniec ze spokojem duszy wrócił do swej więziennej celi, a wkrótce sen błogi skleił mu powieki, siły jego potrzebowały gwałtem takiego wypoczynku.

Ale cóż dalej począł wieśniak?... Oto wziął 50 franków nagrody i powracał samotrzeć tym samym traktem do domu. Powoli okropny niepokój i wyrzuty sumienia zaczęły go dręczyć. — Jam sprzedał brata, jam podły zdrajca krwi bratniej!— wołał w rozpaczy, idąc prawie na oślep w obłąkaniu tem swojem; to też ani wiedział, jak zboczył z drogi i puścił się uboczną drożyną wiodącą do lasu. I byłby tak Bóg wie, jak długo szedł, gdyby nie krzyż stojący tuż przy drodze, którą przechodził; na widok wizerunku męki Chrystusa zatrzymał się nagle, a podnosząc obłąkany wzrok na bolesną twarz Ukrzyżowanego, jęknął i z płaczem zawołał: — Boże ratuj, wspomóż, zlituj się nademną! ja zgrzeszyłem ciężko i nie śmiem podnieść teraz wzroku na święte twoje oblicze, — i upadł do stóp krzyża, a płacz i łkanie długo słychać było wśród spokojnej ciszy leśnej. Potem od czasu do czasu wydobywały się tylko ciche westchnienia z skołatanej piersi, wreszcie gorąca modlitwa uspokoiła całkiem nieszczęśliwego, znać pociechę i radę dobrą mu przyniosła, bo już pewny siebie i bez rozpaczy podniósł się z ziemi i ruszył w dalszą drogę, tylko nie ku domowi, ale do Tuluzy. Będąc już na miejscu, udał się wprost do przełożonego więzienia, a oddając przed paru godzinami wzięte z jego rąk pieniądze, opowiedział jak się rzecz miała właściwie. Przełożonemu łzy rozczulenia stanęły w oczach, odebrał od wieśniaka nieszczęsne pieniądze, a ze swej własnej kieszeni wyjął 40 franków i ściskając serdecznie spracowaną rękę wieśniaka, oddał mu je mówiąc: przyjm tę małą sumkę z mej strony na zapłacenie czynszu za mieszkanie, za to żeś wzgardził judaszowskiemi pieniądzmi; a na tem większą pociechę upewniam cię, że dołożę wszelkich starań, aby odzyskać wolność dla szlachetnego młodzieńca.

Wkrótce potem nadeszło z Paryża zupełne uwolnienie Juljusza Renette, a młodzieniec pełen zapału do pracy z szlachetną i piękną duszą, pozostał i nadal w swej lubej Ojczyźnie, pracując dla dobra współbraci i na chlubę podeszłych wiekiem rodziców.

Tak skończyła mama swoję opowieść, podczas której Staś i Gucio słuchali z całą uwagą jej słów, a potem zawołali prawie jednogłośnie: Jakże pięknie, jak szlachetnie postąpił sobie Juljusz! a jakże serdecznie gorącą musiała być modlitwa biednego wieśniaka, kiedy w niej znalazł pociechę i radę w tak trudnem położeniu.

— Słuszną bardzo zrobiliście uwagę, — odrzekła mama, — czyn Juljusza jest rzeczywiście pięknym i moc modlitwy wielką. Ale teraz czas już moje dzieci na spoczynek, więc dobranoc wam!

Dwaj chłopcy z uszanowaniem ucałowali rękę mamy i udali się do swej sypialni, a kiedy pomodliwszy się szczerze, pokładli w łóżeczko, nie tak prędko zasnęli, bo szlachetny Juljusz długo jeszcze zajmował ich wyobraźnię.

Skoro się będziemy pobożnie modlili,
Bóg prośby wysłucha, a choć nie w tej chwili,
Lecz zawsze wysłucha i dobrze rozrządzi:
My ludzie omylni, On nigdy nie zbłądzi.

Porzecze Wisły.

Wspomnienia z podróży.

Opowiedział A. K.

Mając zamiar zapoznać was bliżej z brzegami Dunajca, tego zbiornika wszystkich wód tatrzańskich — proszę was na chwilę do jego źródeł. Otóż dwa są jego wypływy: tak zwany „Czarny Dunajec“ i „Biały.“ Jeżeli cała przestrzeń, przez którą ten bystry strumień wody swe toczy, jest malowiczo piękną i wspaniałą; to zapewne jednem z najbardziej uroczych miejsc jego nadbrzeżnych — jest sam Dunajca początek.

Czarny Dunajec wypływa z po pod ogromnej skały przez otwór w kształcie sklepionego łuku. Otwór ten jest zakończeniem groty — w różne kierunki po pod skałę się ciągnącej, a wszędzie do połowy przynajmniej czystą i bardzo zimną wodą zapełnionej. Jak mi przewodniczący góral opowiadał, ma być ta grota, przy wypływie wązka i niska, w głębi bardzo obszerną, jakby ogromna sala, na której ścianach i sklepieniu pełno rozlicznych skamieniałych znajduje sie postaci. Lud okoliczny opowiada, że te postacie to zaklęte wojska króla pokutnika, który uchodząc z kraju z kilkoma wiernymi towarzyszami w tej grocie przebywał. Podanie to odnosi się do Bolesława Śmiałego z czasów jego krótkiej bytności w tych stronach, podczas ucieczki do Węgier. Nie myślcie jednak, żeby tak

było w istocie. Lud wiejski, nieoświecony a przytem bardzo religijny, przystraja każdą dokonaną zbrodnię lub nieprawość w podobne nadzwyczajne podania, i rad niemi pieści swą czystą, nieprawością nieskalaną duszę, na znak iż głęboką ma wiarę w sprawiedliwość, której żaden występek bezkarnie nie ujdzie. Rozliczne zaś owe nibyto postacie w grocie źródeł Dunajca po ścianach i sklepieniu się znajdujące, są niczem innem, jak tylko tak zwanemi stalaktytami, czyli soplami, tworzonemi przez długie wieki z przeciekających przez szczeliny skały zaskrzepłych kropel wody, zmieszanej z ziemią i cząstkami roślin. Takie sople różnokształtne napotykamy we wszystkich podobnych grotach skalnych. Skała, z pod której wypływa Biały Dunajec, pokryta jest tysiącami podpisów ludzi zwiedzających te strony, i dla tego zowie się „Pisaną.“ Nieco opodal od „Pisanej“ po prawej ręce drogi w otoczeniu ciemnych świerków, znajduje się duży drewniany krzyż wbity w ogromny, samotnie leżący kamień. Na krzyżu wyrznięty jest napis: „I nic nad Boga.“ Przewodnik mój stanął przed tym znakiem naszego zbawienia i zdjąwszy kapelusz, modlił się przez chwil kilka. Chociaż górale są bardzo pobożni, i przed każdą naddróżną figurą się żegnają, przecież uderzyła mnie ta dłuższa przed wspomnianym krzyżem modlitwa.

Rozciekawiony, zapytałem, na jaką pamiątkę postawiono ten krzyż na kamieniu.

— Widzicie panie — odrzekł — krzyż nie jest w ziemię wbity, ale w kamień młyński wwiercony, a drugi taki kamień leży tam w dole w potoku. Oj będzie temu już bardzo dawno, ani pamiętnika niema, jak tu w tych skałach i jarach złoto kopano. A było bardzo wiele tego bogactwa, furami z tąd wywożono do skarbca królewskiego. Zli i łakomi ludzie sprawili, że te skarby się gdzieś skryły tu głęboko i ani dojść do nich teraz. Pan Bóg ukarał ludzi za wielką ich chciwość. Otóż powiadają, a było to za czasów starego króla (mowa o Kazimierzu Wielkim) — żył tutaj mielnik królewski taki silny, że wyrywał sosny z korzeniem. Pan Bóg mu dał taką siłę, ale on zapomniał, że to łaska Boża, i przechwalał się z tego przed ludźmi, wszystkimi pogardzając. Razu jednego założył się, że dwa te wielkie kamienie, któremi w młynie rozcierał rudę złotą, przewiezie na dół do wsi i napowrót odwiezie. Nikt temu nie chciał wierzyć, bo droga wązka i skalista, koń nie uciągnie, i samemu trzeba popychać i nadnosić wozu, a tu kamienie ciężkie. Sąsiedzi odradzali mu więc, szczególnie, że to było święto; ale pyszny mielnik się uparł, i rzekł: a cóż to, czy ja we święto słabszy? Jak się uparł, ta i pojechał. Aż do tego miejsca dojechał, w tem nagle wózek się nachylił, on go chciał podeprzeć, ale upadający kamień przywalił go i zgniótł na miazgę. Otóż na tę pamiątkę i dla przykładu ludziom, ten krzyż tu postawiono, a gdy zbutwieje, stawiają zaraz drugi. — (Obecny krzyż i napis na nim wzniósł swoim kosztem poeta nasz Wincenty Pol.)

Do krzyża więc tego z napisem: „I nic nad Boga“ dwa się odnoszą podania: o zuchwałym mielniku i o kopalniach złota. Że w stronach tych niegdyś wydobywano rudę złotą, wskazują nietylko podania górali, lecz także stwierdzają to zapiski kronikarskie.

Kopalnie te zarzucić musiano, bo tak mało wydobywano złota, że się robota nieopłacała. Wnętrza Karpat mają wiele złota, lecz takowe znajduje się po południowej stronie od Węgier, gdzie są słynne i bogate kopalnie, jak w Szemnicy i Kremnicy, a jeszcze bogatsze przy końcu stoków karpackich w Siedmiogrodzie. Może kiedyś i po naszej stronie odkryją żyły złote, jak to niedawno odkryto, dawniej nieznane źródła nafty. Górale twierdzą, iż niezadługo już wynajdą w swych górach takie studnie złote, skoro się tylko ludzie z swych grzechów poprawią; bo Pan Bóg karząc teraźniejsze ich występki, pozakrywał przed oczami grzeszników te wielkie skarby.

Tak rozmawiając, wyszliśmy z wąwozu, i pnąc się lesistym pagórkiem, zbliżaliśmy się ku szczytowi ogromnej góry, z której przewodnik przyobiecał mi prześliczny widok. Im dalej, tem droga była gorsza stromsza, utrudzenie było coraz większe. Scieszki, które w około góry się wijąc zdala bieliły, — były niczem innem, jak tylko rozsypiskiem kamieni, po których z wielkim trudem piąć się było trzeba, skacząc, jak górska koza z kamienia na kamień. Im wyżej, tem smutniej i posępniej. Już niema ani karłowatych krzaków kosodrzewiny, ani nie usłyszysz szmeru strumyka, ani szelestu przelatującego ptaka. Natomiast wiatr chłodny przewiewa na wskróś a trudy wyczerpały zda się wszystkie już siły.

Jednakże nadzieja dostania się na wierzchołek góry pokrzepia człowieka, chęć widoku obszernego krajobrazu wabi go upornie, więc po krótkim odpoczynku znowu dalej i dalej. A tu nie ma końca góry! Dostawszy się wreszcie na wierzchołek góry, która się wydawała ostatnią, spostrzegasz, że to dopiero podnóżek jeszcze wyższego szczytu.

Dochodząc do samego wierzchu, napotyka się na największe trudności. Góra stroma, obrosła śliską trawą, a za plecami bystra i głęboka pochyłość. Ze strachem prawie wydrapałem się na szczyt, ale też widok jaki się rozpostarł nagle przed memi oczyma — wart był tego! Cała przebyta a tak stroma droga, wydała się teraz jakby równia, owe pagórki, doły wąwozy i skały, które z takim trudem przebywałem, znikły, wyrównały się teraz jakby w jeden pochyły nieco stok góry. Zdawało mi się

patrzącemu, że gdybym zleciał z wierzchołka, to bym leciał i leciał, i stoczył się aż gdzieś w głąb wąwozu.

Po południowej stronie siniały w dali obszerne węgierskie równiny, a na nich jak okiem zasięgnął liczne wsie i gęste kępy ogrodów; — po stronie polskiej zaś od północy na około nagie w około szczyty stromych gór a u podnóża gęste świerkowe i jodłowe lasy. Pod stopami memi rozciągały się szerokie, białe płachty śniegu, a chociaż dzień był skwarny w samym środku lipca, dojmujące zimno dokuczało mi. Rozścieliwszy burkę na ziemi, przewodnik mój zaprosił do spoczynku. Rad usiadłem, a dobywszy z torby butelkę węgrzyna i przekąskę, smaczno zajadałem, rozglądając się na wszystkie strony. Prześliczny też był widok! I nie dziw, iż tę najwyższą w tej stronie, tuż nad źródłami Dunajca piętrzącą się górę dumni na swe skarby górale „P y s z n ą“ przezwali.



Po godzinnym przeszło spoczynku począłem się spuszczać z góry. Nie mniej uciążliwem jest i zejście, trzeba się dobrze opierać na lasce ostrem żelazem zakończonej, gdyż porost jest ślizki, łatwo więc można się pomknąć i spaść w przepaść. Zeszliśmy wreszcie, i znowu u spodu góry, w wąwozie do doliny Kościeliskiej prowadzącym, odpocząłem trochę. Konik, który mnie przywiózł, stał już zaprzągnięty, za małą chwilę jechałem wązką i kamienistą drożyną ku Kościeliskom.

Wspaniała to zaiste ustroń Tatrów. Pełno kwiecia, ziół, zieloności, woni — a przytem taka jakaś urocza cisza, iż człowiek jakby odurzonym się zdaje, na tyle piękna patrząc od razu. Wyobraźcie sobie górę rozpękniętą w podłuż w czarowny wąwóz, ubierzcie każdy załom skały, każdy sterczący kamień w rozliczne woniejące zioła, krzewy i różnobarwny mech, a to wszystko ozłocone tysiącami promieni łamiącego się światła słonecznego; u podnóża zaś ścian w wąziutkiem łożysku pluszczący z głazu na głaz spieniony Dunajec... a tuż jego kroplami zroszona wąziutka drożyna, — a będziecie mieć choć słabiutki obrazek tego uroczystego wąwozu, prowadzącego do Kościelisk.



Wejście do doliny stanowią dwie skały, tworzące jakby z namysłu wzniesioną wspaniałą bramę tryumfalną, przez którą przeciska się Dunajec i drożyna. Za tą bramą rozciąga się zielona równina, przerżnięta w poprzek srebrzystą wstęgą poważnie tutaj płynącego Dunajca, a po bokach doliny jakby wieniec zielony wysuwają się stoki gór, coraz wyżej jedna nad drugą się piętrząc, aż niektóre gubią swe szczyty w sinawej zasłonie chmur; nad wszystkiemi zaś dumnie króluje wzniosły szczyt „Pysznej“.

W dolinie i po stokach okalających ją gór znajdują się najbogatsze na całem Podhalu szałasy, snać, iż najbujniejsza i najzdrowsza tu pasza.

Miano swoje wiąże ta dolina z dziejami napadów tatarskich.

— Będzie temu już kilka set lat — opowiadał mój przewodnik — kiedy się rozeszła wieść, iż Tatarzy grasują po kraju. Chociaż już często słuchy o ich rabunkach dochodziły, przecież w górach nikt ich jeszcze nie widział. Aż jednego roku w same

Zielone Święta ćma ludu z dolin z całym dobytkiem uciekła w góry — a przelęknione niewiasty, tuląc swe dzieci do piersi, wołały: Tatary rabują! Tatary nas gonią! Strach padł i na naszych, kobiety zawodziły i pobrawszy dziecięta, uciekały między skały i jary. Ale starszyzna nie stracili głowy, zeszli się na naradę, rzekli mądre słowo, młodsi chwycili za toporki i w las. I wnet przyciągnęli nad brzeg przepaści przy wąwozie ścięte drzewa i duże kamienie. Potem cicho się stało jak w grobie. Tatarzy wyjąc jak psy, nadciągnęli za zbiegłymi z równin i rzucili się na drogę, co szła wąwozem. Gdy już ich była chmara — wtedy wypadli z zasadzki górale, jęli zwalać kłody i kamienie na łby tatarskie, a co jeszcze przy życiu zostało, to wyrąbali siekierami. Ćma Tatarów legła w wąwozie i na równinie, a od mnóstwa ich kości — ku wiecznej pamiątce równina ta odtąd Kościeliskiem przezwaną została.

Zdaje się, iż opowiadanie powyższe odnosi się do czasów Bolesława Wstydliwego, kiedy równocześnie i w Polsce i na Węgrzech grasowali Tatarzy, a więc albo tędy przechodzić musieli, albo gonili za mieszkańcami obydwóch najechanych krajów, którzy tutaj ze swym dobytkiem bezpieczne znaleść się spodziewali schronienie.

Cała dolina Kościelisk wynosi $1^1/_4$ mili długości, $^3/_4$ mili szerokości.

Zapoznawszy was z źródłem Czarnego Dunajca i jego okolicą, poprowadzę na chwilę do źródeł drugiego strumienia zwanego Białym Dunajcem.

Ze wsi Zakopane udałem się dobrze utrzymaną i szeroką drogą do kuźnic żelaza, które tu powszechnie „Hamrami“ zowią. Leżą one o pół mili od wsi, w pięknej dolinie pośród lasów świerkowych i modrzewiowych. Kilkanaście zabudowań fabrycznych, dwór właściciela z pięknym ogrodem i schludne domki robotników, otóż i cała osada górnicza zakopańskiej fabryki żelaza i wyrobów żelaznych, które niezaprzeczenie należą do najlepszych w Europie.

Tuż prawie za „Kuźnicami“ leży źródło Białego Dunajca. Kamienistą drogą, prowadzącą od zabudowań hutniczych w las pod górę po nad brzegiem głębokiego parowu, dochodzi się na obszerną, kwiecistą polanę. Wygląda ona raczej na łąkę w całej pełni tego wyrazu — tyle na niej różnobarwnego kwiecia i pachnących ziół; do koła zaś z jednej strony przytyka do niej młody las świerkowy, a z innych wysokie turnie, o nagich lub ciemnym lasem i kosodrzewiną zarosłych grzbietach. Wprost od wejścia w dolinę wznosi się niezbyt wyniosła kamienista góra, prześlicznie ustrojona mchem, i gdzieniegdzie kupką świerków — nazwa jej Kalatówka. Pod jej stopami bije źródło Białego Dunajca. Stroma ścieszka prowadzi do samego źródła, które szerokim strumieniem buchając z popod skały, wnet przezwyciężyć musi wielką przeszkodę. Napotyka bowiem na znacznej wyniosłości skałę, z której z wielkim spadając łoskotem, tworzy piękny wodospad. Szum i łoskot spadającego strumienia jest tak wielki, że w bliskości wiatr czuć się daje, a mówiącego tuż obok zrozumieć nie można. U dołu wodospadu jest z kamieni urządzona, półkolista ławeczka dla gości.

Biały Dunajec, zasiliwszy swą wodą hamernie zakopańskie, mknie się dalej dolinką — a zabrawszy z sobą wszystkie strumyki i potoki zakopańskiej doliny, płynie ku miasteczku Nowemu Targowi i tuż za miastem w jedno z Czarnym Dunajcem złączywszy się koryto, odtąd wspólne miano Dunajca przyjmuje.

Nim was poprowadzę dalej ślicznymi brzegami Dunajca, pozwólcie zatrzymać was jeszcze na chwilę w jego ojcowiźnie, pośród naszych kochanych Tatrów, by niektóre przynajmniej tychże opisać wam osobliwości.

A więc najpierw uczcijmy wspomnieniem Morskie Oko i pokłońmy się temu zapewne najwspanialszemu dziwu gór naszych. (C. d. n.)

Litościwy pies

(Zdarzenie prawdziwe).

Przed niewielu laty żył w naszej stolicy na przedmieściu stary żołnierz, którego jedynym towarzyszem był piękny pies z rasy pudlów, zwany podobno „Wierny.“ — Dziwnie też to zmyślne było stworzenie, przedmiot zazdrości i podziwu, nietylko wszystkich dziatek okolicznych, ale i starych nawet sąsiadów. Jakich to on sztuk nie umiał! Warować, służyć, rzucać się w wodę i wyciągać z tamtąd wrzucony kij lub inny przedmiot, było to dla niego fraszką, najmniejszej, jak się zdaje, trudności nie przedstawiającą. Ale miał on inne przymioty, które się rzadko w najzmyślniejszych nawet psach przytrafiają. Jeżeli pan jego wychodził z domu, niemiał potrzeby drzwi na kłódkę zamykać. Wierny ani na próg nikogo nie wpuścił. Biada była śmiałkowi, co się poważył dotknąć choć kraju szaty jego pana! Wierny nie uląkłby się wówczas nie tylko kija, ale wszelkiego oręża, ba! cały hufiec szatanów nie zdołałby go nastraszyć. Nie rzucał on się na nikogo, nie szczekał na próżno, jak to zwykle czynią inne psy, lubił nawet dzieci sąsiedzkie, którym w przystępie dobrego humoru pozwalał się targać za uszy, a

nawet znosił cierpliwie, jeżeli które zamierzyło użyć go za swego wierzchowca. Ale dla ludzi podejrzanej powierzchowności był dziwnie obojętny, że nie powiem — nawet surowy; wszelkie przymilenia, smaczne kąski, cmokania i wołania, takie na nim sprawiały wrażenie, jak na umarłym kadzidło. Każdy chciałby mieć takiego psa, każdy z uszanowaniem z drogi mu schodził, a przecież nikt nie miał doń żadnego żalu, żadnej urazy, bo Wierny nikogo nigdy nie krzywdził, choćby najlżejszem draśnięciem zęba.

Lecz co nadewszystko zdumiewało przechodniów to widok Wiernego z koszykiem w zębach, który co rano nosił próżny do piekarza, a odnosił z bułkami. Piekarz bowiem był umówiony, aby codzień wkładał do koszyka, tym sposobem przyniesionego, pewną ilość bułek i rogalików, za które później jednorazowo otrzymywał pieniądze. Z początku nieoswojeni tym widokiem ulicznicy całymi tłumami biegali za pudlem, potem jeden i drugi próbował odebrać mu bułki, ale gdy Wierny, postawiwszy koszyk, pokazał im dwa rzędy ostrych zębów, dali mu pokój i odtąd z daleka omijali jak niepyszni.

Niebyło przykładu aby Wierny cokolwiek ruszył z koszyka, to też nie pomału zdziwił się jego właściciel, niedoliczając pewnego razu jednej bułeczki i zdziwienie to doszło do najwyższego stopnia, gdy zauważał, że pies nieśmiało mu jakoś w oczy pogląda.

Ha, pomyślał sobie, może mu piekarz przez pomyłkę jednej bułeczki nie dodał.

Ale piekarz zapewniał, że włożył do kosza umówioną liczbę bułek.

Musiało biedne psisko zgubić w drodze, pomyślał sobie stary żołnierz i niecierpliwie oczekiwał jutra.

Nazajutrz to samo: jednej bułeczki brakowało, a Wierny ani spojrzał w oczy panu swemu i zdawał się jakiś nieswój.

Trzeciego dnia, chcąc wreszcie wyświecić całą tę rzecz, wychodzi starzec, postępując w pewnej odległości za psem, idącym do piekarza. Wierny biegł dość żywo, nie oglądając się po drodze, a przyszedłszy do drzwi piekarni, postawił na ziemi koszyk, podrapał łapą we drzwi, które się niebawem otworzyły i zamknęły za nim. Zaledwie stary żołnierz zdołał się ukryć za węgieł domu, gdy pies wybiegł z sieni niosąc, o ile się zdało zwykłą liczbę bułek. Podążył za nim stary, a przechodząc przez most, ujrzał zbiegającego szybko pod sklepienie mostowe, w miejscu gdzie most stykał się z brzegiem potoku,— natychmiast poskoczył za psem i zajrzał pod most.

To, co ujrzał, na zawsze się wyryło w jego duszy.

W miejscu osłoniętem trochę od wiatru, dzięki kilku ogromnym kamieniom, leżało mizerne, schorzałe, wycieńczone psisko, przed którym właśnie stał Wierny i wyjmował zębami z kosza bułkę. Położył ją zwolna przed głową słabego towarzysza, który podniósł się nieco, jakby chcąc wyrazić mu swą wdzięczność i zaczął tłuc ogonem po ziemi. Wierny natychmiast wziął koszyk w zęby i zwrócił się ku domowi. Ujrzawszy swego pana, stanął jak wryty, pochylił głowę, postawił koszyk na ziemi i pełznąc, zbliżył się do jego nóg, jakby prosząc przebaczenia.

Domyślacie się zapewne, młodzi czytelnicy, że za taki postępek poczciwy stary wiarus nietylko go nie skarcił, ale ze łzą w oku przygarnął do swoich kolan i począł go obsypywać pieszczotami. Owego zaś psa kalekę wziął do siebie, ku wielkiej radości Wiernego, który jak mógł i umiał objawiał swe zadowolenie. I długo jeszcze żył stary wiarus z dwoma psami, które na krok go prawie nie odstępowały.

Wypadek ten jest rzeczywisty i znam ludzi, którzy bywali w domu starego żołnierza i słusznie podziwiali szlachetną zmyślność Wiernego.

Mamyż z tąd wyprowadzić jaką moralną naukę? Jeżeli Stwórca w bezduszne zwierzęta wlał takie uczucie litości, to jakże więcej jeszcze winni pielęgnować tę cnotę ludzie, jeżeli pragną zwierzęta prześcignąć i osiągnąć wiekuistą nagrodę w Niebie a szacunek u bliźnich!!

Kilka dni temu dzienniki lwowskie podały wręcz przeciwny objaw uczucia litości i miłości bliźniego.

Do jakiejś bardro bogatej pani mieszkającej w pysznym pałacu we Lwowie (w którym z wielu tutejszych niewiadomo mi), przybyła schorzała staruszka, prosząc o wsparcie. Ta biedna kobieta była niegdyś aktorką, a obecnie utrzymuje się z wydzielonej jej pensji kilku reńskich miesięcznie. Lekarze kazali jej dla poratowania nadwątlonego zdrowia wyjechać na wieś na świeże powietrze, ale biedna, nieszczęśliwa — nie ma czem nawet nędzną strawę codzienną i mieszkanie opłacić, — a cóż tu dopiero myśleć o wyjeździe i kilkotygodniowym pobycie na wsi. — Zapukała więc do tego bogatego pałacu, gdzie zbytek panuje i prosiła o litość. Na jej prośbę na piśmie podaną, otrzymała przez lokaja, za cały datek **1 złr.** w. a.

Ubogi

(Powiastka Stanisława Jachowicza.)

Szedł biedny starzec od głodu blady,
Na twarzy zmarszczki, starości ślady,
I łzawe w niebo podniosłszy oczy;
A wtem chłopczyna z chatki wyskoczy. —
„Czegóż to płaczesz? mój dziadku siwy!
Czy cię co boli? czyś nieszczęśliwy?
Powiedz mi, powiedz! — Mama i Tatka
Każą mi kochać biednego dziadka.“
A starzec na to: „Szczęśliwe dziecię!
Piękne się tobie otwiera życie;
Oj kochaj za to Mamę i Tatę!
Wszyscy znajdziecie w niebie zapłatę.
Ja się w daleką puściłem drogę,
Kawałka chleba znaleść nie mogę;
Smutny, o głodzie idę dzień cały,
Pierwszy mię witasz, chłopczyno mały!
Pierwszy mię słowem poczciwem witasz,
Żal ci staruszka, i o łzy pytasz.
O! niech ci za to Bóg łaskę zsyła;
„Bądź pozdrowiona, dziecinko miła!“
I znowu chłopczyk skoczył do chatki,
Wyniósł dziadkowi pieniądz od matki,
Sam mu dał bułkę, a dziadek schował
I chłopczykowi pięknie dziękował.

Myśli i zdania.

W młodości łatwe wyżywienie; gdy się do nas zgrzybiałość leniwym krokiem przyczołga, im bardziej jest niedołężną, tem bardziej dogadzania potrzebuje.

— Nie pragnij zbytecznych dostatków, lepsza mierność, aniżeli zbytek.

— Ciężko rozpoznać złoto i srebro od naśladującego je kruszcu, ciężej zdradę od przyjaźni. Rozezna to jednak człowiek roztropny, ale nie bez pracy, starania i przemysłu, gdyż chytrość rada się mieści w najskrytszych zakątkach i tak się umie przyczaić, że ją ledwo najbystrzejszy wzrok wyśledzić potrafi.

— Srożej nad starość i chorobę trapi człowieka ubóstwo, strzeżmy się, abyśmy przez lekkomyślność, marnotrawność i próżniactwo do niego nie przyszli. Niemasz bowiem większego ciężaru jak żebrać cudzej pomocy.

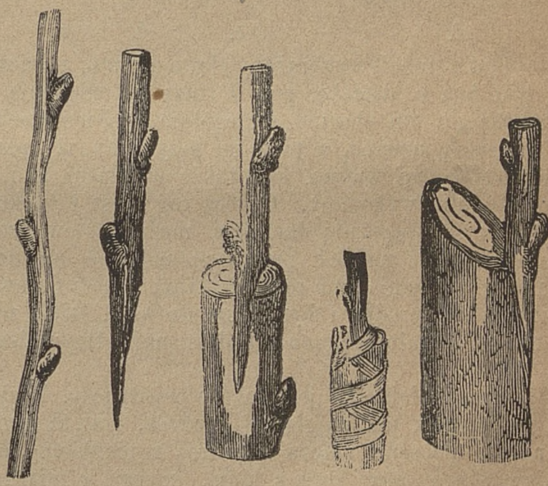
(Myśli te ułożył sławny Benjamin Franklin i często je powtarzał z pamięci, pragnąłbym, byście i wy wyuczyli się takowych na pamięć, i często powtarzając, według nich postępowali.

Przechadzki po polu i ogrodzie.

(C. d. patrz Nr. 5.: Praca w ogrodzie.)

Napisał A. K.

Pod liczbą 1. umieściłem drzeworyt przedstawiający szczepienie w szparę, w uzupełnieniu tego podaję pod liczbą 3. drzeworyt wyobrażający drugi sposób szczepienia w szparę; pod liczbą 4. już zaszczepiony i obwiązany pieniek; pod liczbą 5. tak zwane kożuchowanie czyli szczepienie za korę; pod a. i b. zaś zrazy przygotowane do szczepienia.

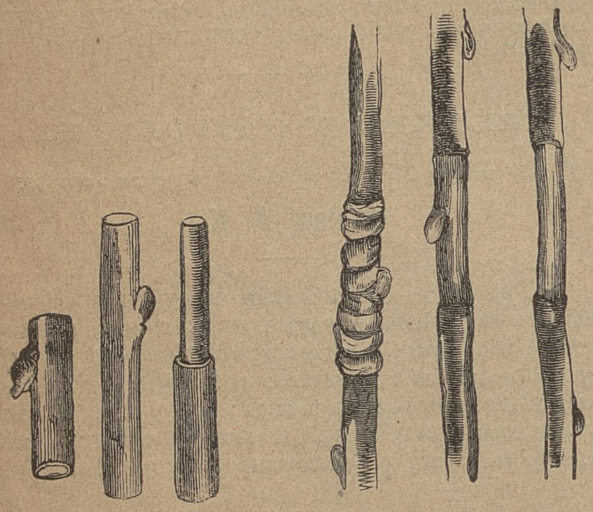


a. *b.* *3.* *4.* *5.*

Przy kożuchowaniu postępuje się co do przyrządzenia pieńka i zraza zupełnie tak jak przy szczepieniu. Różnica zachodzi tylko w wykonaniu złączenia: w pieńku, w którejkolwiek jego stronie — najlepiej gdzie kora jest gładsza — przerzyna się korę i miazgę, nie wpuszczając noża w drzewo; poczem przyrządzony zraz wpuszcza się w narznięte miejsce pieńka, a tak zespolony zraz obwija się, jakoteż maścią szczelnie obsmarowuje. Tego sposobu używają obecnie częściej, szczególnie przy drzewach ziarnkowych, jednakże i przy pestkowych można go zalecić.

Czas kożuchowania jest dopiero w maju, kiedy drzewo już znacznie w soki postąpi.

Ostatnim sposobem uszlachetnienia drzew owocowych jest tak zwane kopulizowanie czyli łączenie.



d. *c.* *b.* *a.*

Pod *a*. macie wyobrażony złączony zraz z dziczką, pod *b*. i *c*. dziczkę, pod *d* zrazy do złączenia.

Sposób ten obecnie, szczególnie w Niemczech, za najlepszy uznano, a to z tej przyczyny, iż może być nietylko na wiosnę, lecz także w jesieni, a nawet w zimie wykonany. Oprócz tego jest i ta korzyść, iż się wcześniej doczekać można drzew urodzajnych, gdyż pieniek przy tym sposobie nie doznał ani wkrajania ani rozszczepiania, przeto drzewo rozrasta się prędko i bywa najzdrowsze, jeżeli zaś w zimie zostało złączone, będzie najwytrzymalsze na mrozy.

Sposób łączenia jest bardzo pojedynczy. Urzyna się pieniek jak najgłębiej z ukosa, zraz to samo z ukosa, poczem złącza się zraz z pienkiem jak najszczelniej, aby kora z korą, miazga z miazgą, rdzeń z rdzeniem się stykały; po złączeniu zamazuje się maścią, obwija płótnem i silnie obwiązuje. Gdy latorośl zaczyna wypuszczać, obwiązka się cokolwiek popuszcza, a po paru miesiącach zupełnie odejmuje.

Opowiedziawszy wam o wszystkich trzech sposobach uszlachetniania drzew, powiem jeszcze słów kilka o sposobie wypielęgnowania sobie pieńków do szczepienia.

Otóż dwojakim sposobem takowe otrzymać możemy, albo z zasianych ziarnek, albo z zasadzonych dziczek. Pierwszy sposób dłuższego wymaga czasu, jednakże jest korzystniejszy—albowiem z ziarn dobrych owoców lepsze urodzą się pienki, a powtóre iż z pełnego zagona zasianego ziarnkami, najdorodniejsze tylko pieńki do szczepienia się wybierają, podczas gdy z zasadzonych dziczek—chociaż z nich prędzej owocu spodziewać się można—tych korzyści nie otrzymujemy. Grzędę zaś pod zasiew ziarnek tak się przyrządza.

Odznacza się w ogrodzie w miejscu od wiatrów zasłoniętem, jednakże na działanie słońca wystawionem, kilka grządek, otacza się takowe płotkiem i na każdej grządce o dobrze spulchnionej i rozkruszonej ziemi, robi się rowki na cal głębokie, a na pół łokcia jedne od drugich odległe i w takowe, co cztery cale, wsadza się ziarnka spiczastym końcem w ziemię, poczem przysypuje się je ziemią na cal wysoko. Tak zasadzoną w jesieni grzędę przykryć trzeba przed nadejściem mrozów matą ze słomy z gnojem, z wiosną zaś jak najwcześniej takową odsłonić. Po zejściu ziarnek, mianowicie w czasie posuchy, wymaga grzęda częstego polewania i plewienia.

Ziarnka do zasadzenia otrzymuje się z dojrzałego owocu — obernąwszy mięso — wydobywa się sam środek z ziarnkami, chowa w naczyniu glinianem, a gdy gnić zaczynają, rozciera wałkiem, jednakże tak ostrożnie aby nie zgnieść ziarnek, poczem na przetaku w wodzie ustawionym, oczyszcza się ze zgnilizny — i cokolwiek osusza, jednakże nie zupełnie, bo by nie zeszły.

Pestki na ten sam sposób się zasadza, z tą tylko różnicą, iż najlepiej sadzić je zaraz po wydobyciu z owocu, obtarłszy cokolwiek płótnem z wilgoci.

Tak z ziarnek, jakoteż i z pestek wyrosłe latorośle, w drugim już roku mogą być z grzędy przesadzone na osobne, umyślnie w tym celu przysposobione miejsce, które szkółką owocową pospolicie nazywamy.

— O pokaż nam szkółkę, panie Wojciechu — zawołali naraz Kazio i Ludka, — my tak pragniemy poznać ją dokładniej, wszak Tato nasz codzień prawie o niej mówi i chodzi tam często.

— Chodźcie więc, moi ciekawi uczniowie, ot tam niedaleko, koło stodoły, pod samą prawie jej ścianą, znajduje się nasza szkółka.

— Ach co tu drzewek, — zawołał Kazio, wchodząc przez małą furtkę do odarnionego starannie w około ogródka, więcej niż ćwierć morga przestrzeni zajmującego.

— Ileż to będziemy mieć gruszek, jabłek, śliwek i czereśni, gdy te drzewka wyrosną! Niewiem tylko, gdzie je sadzić będziecie; w ogrodzie naszym i tak już dużo drzew, chyba gdzieindziej nowy założycie ogród. — Uśmiechnął się ogrodnik, posłyszawszy tę uwagę młodej panienki, a machnąwszy ręką powiedział: alboż to panienka nie wie, iż Tatko wieśniakom, nietylko z naszej, lecz i z okolicznych wsi rozdaje maóstwo dziczek i szczepów zadarmo, a tylko ten u nas nie ma jeszcze sadu, który albo

sam nie chce, albo jest niedbałym o swe dobro i mienie. Od czasu mojej tu bytności, a już mija rok piętnasty, rozdaliśmy między wiesniaków więcej niż 10 000 dziczek i szczepów, a co zrazów tego ani policzyć. Do tego jeszcze dodać trzeba, iż nasz pan, od czasu jak przyjechał z kąpiel niemieckich, każe wysadzać wszystkie drogi pełne szczepami, nawet większe łany są w około poobsadzane jabłoniami i gruszami. W zeszłym roku z tych drzew w polu mieliśmy przeszło 200 korcy zimowych jabłek, a co wczesnych gruszek i jagod ludzie w żniwa zjedli, to także ani policzyć. Widzi więc panienka, że będzie gdzie umieścić naszę szkółkę, a do tego i w ogrodzie naszym drzewa się starzeją, lub w czasie ostrej zimy wymarzają, trzeba więc takie, zastąpić młodemi szczepami.

Rozgadałem się trochę, a o celu naszego tu przyjścia zapomniałem. Mieliśmy podobno mówić o szkółce, jak się ją zakłada i jak utrzymuje.

Otóż na szkółkę wybiera się miejsce, otwarte na słońce, a zasłonięte od wiatrów, ziemię dobrze uprawną, głęboko skopnje, i w około starannie wysokim ogradza się płotem, aby zające w zimie szkody nie robiły, o bo to wielkie psotniki. Grzędy robią się na trzy łokcie szerokie, wzdłuż po trzy rzędy drzewek, o łokieć rzęd od rzędu, a o pół łokcia rzęd od brzegu grzędy, drzewko zaś od drzewka na łokieć; drzewka bocznych rzędów trzeba sadzić naprzeciw siebie, drzewka średnich rzędów umieszczać między drzewka bocznych, to jest w szachownicę. Z wiosną zasadza się szkółka. Z grzędy ziarnówkami zasadzonej, wydobywa się za pomocą rydlówki wysokie latorośle, bez skaleczenia kory i korzeni, pokaleczone zaś korzenie przyciąć trzeba, jeżeli zaś odstają lub są dłuższe nad inne, także się przycina, niemniej i korzeń prosto ze środka w ziemię rosnący, a jeżeli jest więcej takich korzeni prosto w ziemię rosnących, to takowe po obcięciu do równi, rozkłada się wraz z innymi przy wsadzaniu. Ten korzeń środkowy nazywają ogrodnicy macierzystym, otóż powtarzam, trzeba takowy przy przesadzaniu do szkółki koniecznie skrócić, obcinając go, potem zaś, gdy się ze szkółki wysadza, lub później szczep już wyrosły przesadza, nigdy nie urzynać, jak to czynią niektórzy, lecz jeżeli jest dłuższy w pozdłuż wraz z innymi bocznymi korzeniami rozłożyć.

Tak wysadzoną z grzędy dziczkę wsadza się w szkółce do jamki tak głęboko wykopanej, jak pierwej rosło na grzędzie; poczem się korzenie jego dobrą i sianą ziemią przysypuje, podnosząc zwolna drzewko i opuszczając, aby ziemia między korzenie dochodziła, a wreszcie, gdy już korzenie dostatnio obsypane zostały, leje się wodę w jamkę koło drzewka tak obficie, ile ziemia objąć zdoła, nic takowej pierw nie udeptawszy.

Ziemia w szkółce powinna być dwa razy do roku, to jest na wiosnę i w jesieni, ostrożnie rydlem wzruszona, nie nadwerężając korzeni, w lecie zaś z zielska starannie wypielona, w czasie zaś posuchy polewana obficie. Gdy drzewka podrastają, należy je prostować, wkopując przy każdem mocny i prosty drążek, gałązki zać puszczające się z pieńka i korzeni starannie obcinać, a w rok lub we dwa, gdy te płonki zdolne sę zraz utrzymać, można je wysadzać ze szkółki i zaszczepiać.

Zrazy zaś, czyli roszczki, z dobrych i młodych drzew wzięte, najlepsze z wierzchołka, od południa lub wschodu wyrosłe, powinny być pełne soku i ze zdrowemi oczkami, tudzież nie grubsze od piór gęsich. Zrzyna się ich w dzień pogodny w marcu lub kwietniu, nim soki w drzewie zaczną się poruszać; uważać trzeba, by nie miały pączków na kwiat, lecz pączki na gałązki, co się łatwo poznaje, gdyż są mniejsze od pierwszych. Tak zerznięte zrazy wiąże się w snopek i wsadza się urzniętymi końcami na parę cali głękoko w wilgotną glinę i przysypuje ziemią, aż do czasu szczepienia jeżeli zaś mają być przesyłane, najlepiej jest mchem wilgotnym poobwijać, zwłaszcza przy narzniętych końcach. *)

Otóż zaznajomiłem was i ze szkółką, na zakończenie zaś dzisiejszej gawędki, powiem jeszcze, jak się sporządza maść, potrzebna przy szczepieniu. Nazywają ją maścią woskową. Bierze się jednę część terpentyny, cztery części wosku i sześć części żywicy. Wosk i żywicę rozpuszcza się w tygielku nad ogniem, potem się wlewa terpentyna i wszystko razem zmiesza. Tę mieszaninę wlewa się w miskę napełnioną wodą i rękami dobrze przerobi, otóż i maść gotowa.

Inny rodzaj maści, tak zwanej miękkiej, używanej do zamazywania młodych gałązek, sporządza się z wosku, żywicy i sadła wieprzowego w równych częściach, naprzykład każdego po ćwierć funta, to wszystko rozpuszcza się w tyglu nad ogniem, a gdy ostygnie, rozrabia i rozgniata z oliwą. Są jeszcze i inne rodzaje maści i kitu do drzew, lecz dwa powyższe najczęściej się u nas używają.

— A teraz moi młodzi, kochani uczniowie — rzekł pan Wojciech poważnie — idźcie do domu, a jutro da Bóg doczekać i jeżeli zechcecie posłuchać moich opowiadań, to proszę do siebie, a wiele jeszcze ciekawych i pożytecznych rzeczy mam dla was w pogotowiu. (C. d. n.)

---

*) Zwracam uwagę, iż w piśmie można tylko niektóre rzeczy objaśnić, do dobrego zachęcić i uwagę na to zwrócić, ale rzeczy samej, jak siania pestek, przesadzania drzewek, szczepienia, czyszczenia drzewa itd., można się tylko nauczyć praktycznie w ogrodzie, przypatrując się na te czynności. Idźcie więc do ogrodu, i tam dokończcie rozpoczętą przezemnie naukę.

Rozmaitości.

Kryształy różno-kolorowe.

Rozpuść hałun w gorącej wodzie i dodawaj go dopóty, dopóki się jeszcze rozpuszcza, potem wylej na miseczkę lub salaterkę, a po kilku godzinach otrzymasz kryształy wodojasne, ośmiokątne. Biorąc zamiast hałunu, otrzymamy takież sześcienne kształty z siarczanu żelaza, pięknego zielonego koloru z siarczanu miedzi, błękitne; dodawszy do tej ostatniej soli nieco amonjaku gryzącego, jakiego używają do trzeźwienia, kryształy będą szafirowe, z chromianu potażu ciemno czerwone. Do rozpuszczonej soli umieszczonej w słoju można wpuścić na nitce kawałek drzewa np. krzyżyk lub obrączkę, a kryształiki tworzące się obsiędą wpuszczony przedmiot. Uważać tylko należy, aby nitkę uwiązać na patyczku, który ma się w poprzek na stoliku położyć i aby wpuszczone drzewko znajdowało się w samym środku. Tym sposobem można sobie zrobić dyjamentową koronę. Chcąc tego dokazać robi się na gorąco funt hałunu, wlewa się do naczynia tak szerokiego, żeby się korona pomieścić mogła. Drut obwija się przędzą wełnianą, poczem koronę wpuszcza do roztworu hałunowego, i zostawia przez 24 godzin w spokojności. Skoro ją potem wyciągniesz, ujrzysz bardzo piękną koronę, jakby z świetnych dyjamentów złożoną. Zamiast korony można zrobić koszyk, wazonik t. t. p. rzeczy, można nawet kryształy hałunu zafarbować dodatkiem siarczanu miedzi lub żelaza.

Ogień biały bengalski.

Widujecie czasami w teatrze ogień biały, nadzwyczaj jasny, oświecający bardzo silnie. Chcąc zrobić taki ogień, należy wziąść dwanaście lutów saletry, wysuszonej poprzednio na piecu, sproszkować drobno w moździerzu ,dodać pięć lutów kwiatu siarkowego, oraz półtrzecia łuta siarczyku antymonu w proszku. Obydwóch tych ciał ostatnich kupić można w każdej aptece. Poczem wszystko jak najdokładniej zmieszać i zachować w flaszce zatkanej. Chcąc użyć, posypuje się na blachę żelazną, najlepiej na wolnem powietrzu, lub w kominku dobrze ciągnącym i zapala. Ogień ten pali się spokojnie, nie wybucha i nie jest wcale niebezpiecznym, wydaje tylko dym przykry, i dlatego w pokoju nienależy go palić. Jasność ognia pochodzi od siarczyku antymonu, palącego się rażącym białym płomieniem; dodana siarka palenie ułatwia, saletra zaś dostarcza tlenu, przez co spłonienie następuje nie tylko prędzej, ale i nierównie jaśniej

Kryształy z sody.

Kupuje się za kilkanaście groszy w składzie aptecznym funt sody, (jakiej zwykle używają do prania bielizny lub mycia podłóg) — nalewa się 1½ kwartą wody, najlepiej deszczówką, poczem umieszcza w glinianem a jeszcze lepiej w porcelanowem naczyniu na piecu i paruje dopóty, dopóki na powierzchni nie ukaże się cieniuchnk błonka solna. Odstawiwszy naczynie w zimie do sieni, a w lecie do piwnicy na kilkanaście godzin, ujrzymy prześliczne kryształy sodowe. Należy jednak uważać, żeby w czasie gotowania nie wpadły pyłki, albo kurz, a do krystalizowania przykryć deszczułką, gdyż się kryształy zanieczyszczą.

Szarada.

Przez **ż** — to do szkoły chodzi,
Przez **t** — mówi, kto się zgodzi,
Przez **h** — służy do wieszania,
Przez **j** — służy do pytania,
Przez **s** — z nici, tem się łowi,
Przez **l** — służy pisarzowi,
Przez **m** — często w zbożu bywa,
Przez **r** — to we wodzie pływa.

Umieszczoną w Nr. 6. i 7. zagadkę rozwiązali następujący czytelnicy „Opiekuna“:

Jadwisia, Zosia, Marynia Piotrowskie z Barszczowic; Adaś Jordan z Błonia i Jan Kanty Cichowski jego towarzysz; Adaś Zaciński z Więcierzy poczta Jordanów; Mania Prokopowicz z Kocmania; J. K. ze Stanisławowa; Eugenjusz Kołaczkowski ze Lwowa Nr. 242 Halickie; Wincenty Koncewicz ze Lwowa Nr. 199¼; Wilhelm Serafin z Budzanowa; Stasia Rodecka z Krakowca (proszę w przyszłym liście uważać lepiej na pisownię); Ignacy Kawecki uczeń IV. klasy z Czortkowa; Marjan Sernicki z Leżajska; Emilja Sikorska uczennica II. klasy z Biesiadek poczta Brzesko; Wojtuś Mateja syn leśniczego uczeń II. klasy w Dobrkowie poczta Pilzno; Bronisław Chodkiewicz z Kolbuszowy; Antoni z Przemyśla (nazwiska nie podał — przysyłając w ładnym wierszyku odgadnięcie zagadki, chociaż więc o nagrodę się upomina, przysłać mu jej nie mogę, bo nie wiem adresu); Masia z Trębowli: Walercio Krywult z Krakowa; Stasia Remer z Kalwarji; Honorata Potuczek z Wieliczki; Paweł Jaślak z Przysietnicy?; Bronisława Grochowska (nie podano zkąd); W. Targowska z Jordanowa; J. P. z Tuligłów; Helena D. z Buczacza (ofiaruje nagrodę na fant loterji odbytej 13. sierpnia na korzyść „Opieki Narodowej“): Kotulski z Pstrągowy poczta Frysztak; Leon i Wincenty Jabłońscy z Leżajska; Marja Martynowicz z Grzymałowa; Seweryna Spaczyńska uczennica IV. klasy z Sambora; Józef Kłosowski z Trzemeszna; Staś Marynowski z Innowrocławia; Helenka i Jadzia Błońskie z Rzepniowa (Gniezno); Ludwiś i Zygmuś Rakowscy z Bojamiec; Karol i Gustaw Z. z Cieszyna; Stanisław i Wacław Mierzwińscy z Wrocławia; Zdzisław i Zosia Kulesza z Monachjum.

Z drukarni *J. Dobrzańskiego & K. Gromana.* Wydawca i odpowiedzialny redaktor *Aleksander Kisielewski.*